

DLA MŁODSZYCH.

Strachy.

(Wspomnienie z lat chłopięcych).

Było to w Przemyślu. Mieszkaliśmy przy ulicy Dobromilskiej tuż za okopiskiem żydowskiem. Kto zna Przemyśl, ten wie doskonale, że cmentarz ten, który niegdyś leżał już za murami dawniejszej twierdzy, dziś okolony wokół miastem, które daleko po za niego wydłuża swe ulice. Dzisiaj zamknięty, za mych chłopięcych lat, kiedy moi rodzice w tem mieście mieszkali, jeszcze służył w całej pełni do grzebania zwłok.

Mieszkanie nasze leżało tuż za murem, okalającym okopisko. Był to domek mały, wśród ogródka, a najbliższy sąsiedni

dom leżał o kilkaset kroków dalej także wśród gęstego ogrodu, tak że mieszkaliśmy sami, jakby na wsi. Z okien naszych widać było bielejące się tablice pomników żydowskich. Nie jednokrotnie byłem uczestnikiem tajemnych wypraw przez wyłom muru na okopisko przedsiębranych. Największą uciechą było obejść czujność grabarza i gdzieś w jakim kącie grać w kiczkę, albo wspólnemi siłami, jaką starą płytę pomnikową zwalić, albo błotem napis zamazać.

Rzecz naturalna, że tylko w dzień odważaliśmy się na takie wyprawy, noc kryjąca ciemnością groby była porą, kiedyby żaden z nas nie odważył się tam zaglądnąć.

Wprawdzie dwa lub trzy razy w pogodne nocy księżycowe, gdy z ojcem wracaliśmy późną porą z miasta, a osobliwie z góry zamkowej, ojciec prowadził mnie krótszemi drogami wprost przez okopisko do domu. Pamiętam że wtedy drżałem ze strachu, ale udawałem zucha, zresztą w obecności ojca, widząc, że on się nie boi, śmielej kroczyłem pomiędzy groby.

Naumyślnie wspominam o tem na dowód, że nikomu z naszych nie śniło się nawet o tem, by się bać z powodu sąsiedztwa cmentarza.

Ale o to rzecz się zmieniła. Moi rodzice bardzo często robili wycieczki w pobliskie okolice. Zwyczajnie jechaliśmy co niedziela do pobliskiej wsi Przekopanego, do znajomych państwa A. Był tam dla nas chłopców raj — ogród olbrzymi, pełen drzew owocowych, huśtawka, łódka na Wiatrze, nie dziwota, że oczekiwaliśmy niedzieli z wielkiem upragnieniem, a wracaliśmy dopiero późno wnocy nieraz o 1-szej lub 2-giej.

W domu zostawała sama jedna, jak palec nasza babka.

Jednego razu, gdy przy pogadance wieczornej zeszła mowa na strachy, odezwała się babka, że w tym domu, gdzie mieszkamy, coś straszy.

„Co, jak, kiedy, gdzie?“ posypały się pytania. Każdy przeczył, każdy mówił, że o strachach nawet myśl nikomu przyjść nie powinna, że wszystko da się naturalnym sposobem wytłumaczyć.

— Przecież wiecie, że i ja niejestem zabobonna, ale tego co tu zachodzi co niedzieli w nocy, gdy was niema, nie mogę sobie inaczej wytłumaczyć, jak tylko strachami. Nie chciałam wam mówić, ale ponieważ ciągle się powtarza, już się niepokoić zaczynam.

Wiecie, że w niedzielę sama pozostaję. Wieczór przemija spokojnie, zaraz jednak po jedenastej ktoś do głównych drzwi się dobywa. Słyszę wyraźnie, jak bierze za klamkę, próbuje drzwi otworzyć.

Z początku myślałam, że to ktoś znajomy wstawałam, otwierałam drzwi, które były na klucz zamknięte, ale żywej duszy nie było na dworze, wołałam, pytałam, kto jest, nikt nie nie odpowiadał. Powtarza się to regularnie, co niedzielę, o tej samej godzinie, tak że mię już lęk zbiera, może to jaka pokutująca dusza żydowska, zmiłowania Bożego szukająca".

„Co tam mama baja — odrzekł ojciec — albo się coś mamie przesłyszało, albo musi być coś całkiem naturalnego. Dziwna bo by była dusza, co by tylko w nocy w niedzielę o swe zbawienie się dobijała i to do nas, a nie do kościoła".

Gadaj ty sobie — odparła babka — raz mogło mi się przesłyszeć, ale to powtarza się ciągle, a zresztą, mur tylko oddziela nas od umarłych; kto wie co to może być?

Łatwo udowodnić, co to jest. — rzekł znowu ojciec. — Tej niedzieli zostanę z mamą i stracha tego łatwo złapiemy.

Oto co się stało. Najbliższej niedzieli pojechaliśmy znów na wieś, a ojciec z babką został w domu. Gdy nadszedł wieczór położył się na sofie w ubraniu, by nie usnąć, przygotował sobie dobry kij, by w danym razie stracha dobrze poczęstować; czytając książkę, czekał jedenastej godziny.

Nareście jedenasta wybiła. Cisza była zupełna, babka czując się bezpieczną zasnęła spokojnie, słychać było z drugiego pokoju miarowy jej oddech i tykanie zegaru ściennego.

Ojciec czekał z niecierpliwością. Jeszcze nawet dziesięć nie upłynęło, gdy rozległ się nagle wyraźny odgłos, jak ktoś kilkakrotnie próbował klamkę poruszyć, zerwał się ojciec, chwycił za kij i pocichu, by nie spłoszyć przed czasem stracha, wszedł do sieni otworzył kluczem drzwi i nagle rozwarł.

Nie było nikogo. Noc jasna księżycowa dozwalała wszystko zobaczyć, wyszedł ojciec na ganek, rozglądnął się w około, żywej duszy widać nie było; zeszedł z ganku obszedł dom w około i nie trafił nikogo, nawet spenetrował ogródek, zajrzał przez wyłom za mur cmentarza, czy tam się ktoś nie schował wszystko było daremnem. Kto pukał zostało nie wyjaśnionem.

Ojciec był zły, że nikogo nie przydybał, że nie umiał sobie pukania wytłumaczyć, ale nie dał za wygranę.

Na drugą niedzielę zasadził się nań, znowu się to samo powtórzyło, a stracha nie można było na gorącym uczynku złapać, Jeszcze jedną niedzielę poświęcił ojciec i nadaremnie, strach był, dotrzymał godzinę 10 minut po jedenastej, ale złożywszy wizytę zniknął jak kamfora.

Powtarzało się to jeszcze przez kilka niedziel, gdzie znów sama babka zostawała, tak że potem musieliśmy ją brać ze sobą na wieś, wolała trudzić się jazdą, jak na jej wiek podeszły, bardzo żmudną, niż słuchać pukania strachów.

To jedno dziwnem było w tej rzeczy, że w powszedni dzień strach nigdy nie odwiedzał naszego domu, tylko czekał niedzieli, by swą wizytę złożyć.

Nareście przypadek zdarzył, żeśmy wszyscy zobaczyli, jak ten nocny strach wygląda.

O to, jak zwyczajnie w mniejszem mieście się dzieje, prowadziliśmy małe gospodarstwo. Było na podwórzu kilka kur a w małym chlewku karmiła babka zawsze kilka wieprzków. Od czasu do czasu jeden z nich dawał gardło pod nóż, a do tej operacyi przybywał zawsze jeden rzeźnik Schaff imieniem. O ile pamiętam go, rzeczywiście było to u niego „nomen omen“, ale poczciwina to był, jak to mówią z kośćmi, stary kawaler. Częstym był gościem u nas przychodził wieczorem siadał w kuchni i potrafił do późnej nocy, siedzieć tam pod piecem, pykając na swej krótkiej fajeczce, zadowolony, gdy ktoś wyszedł do niego, by z nim pogawędzić.

Otóż on to wyprawiał świnie nasze na tamten świat. Ale niech Bóg broni, by go było za to wynagrodzić, byłaby to dla niego obraza, robił to zawsze bezpłatnie i to, by kto z nas nie myślał, że to mu jakiś uszczerbek robi, całą robotę załatwiał, w niedzielę.

I właśnie jednego południa w niedzielę zabrał się do dzieła załatwił się prędko; jak zabijał świnię nie wiem bo nam nie wolno było takiemu widokowi się przypatrywać. Po tem rozpoczynała się robota dalsza, robienie kiełbas, kiszek i innych świńskich delikatesów. Wszyscy byliśmy zebrani w sieni, wśród głośnej rozmowy i patrzenia się jak kiełbasy i kiszki się robią, szybko mijał czas, nikt nie miał potrzeby snu. Nie zważano, że jest już późno.

Nagle zaczął bić zegar, rachowałem głośno.

— Jedenasta, godzina duchów — rzekł ojciec. — Niedziela najwyższy czas odwiedzin naszego stracha; ciekawym bardzo czy i dziś nam złoży wizytę.

Milczenie zaległo sień, wszyscy wstrzymali dech, zrobiła się cisza, wszyscy czekali, co nastąpi. Upłynęło z dziesięć minut, żadnego znaku, że strach się zbliża.

— Przeczuwałem, że strach nie pokaże się dzisiaj, zanadto jest tu ruchliwo, tego strachy nie lubią.

Ale zaledwie skończył, dał się słysześ szmer pod drzwiami, każdy zaparł w sobie addech — w tem wyraźnie ktoś poruszył klamką raz i drugi. — wszyscy struchleli — jeden ojciec szybko podskoczył i nagle rozwarł drzwi .... a do sieni wpadł przednimi łapami „Ponurko" wielki kundys gospodarza domu.

— Ach — wyrwało się każdemu z ulżeniem.

— Otóż macie waszego stracha — zawołał ojciec.

Wszyscy wybuchli śmiechem, a Ponurko najspokojniej nie widząc jaką sprawił senzacyę, zbierał odpadki mięsa ze ziemi.

Teraz wyjaśniła się zagadka tajemniczych, niedzielnych odwiedzin psa.

Nasz gospodarz miał w mieście, na trakcie dobromilskiem restauracyę, gdzie też i mieszkał. Pies, którego trzymał, miał swą budę na naszem podwórzu. Wieczór o 9-tej zamykał swój lokal, a psa, który przez dzień siedział sobie w kuchni a po po zamknięciu lokalu, wypędzał gospodarz, by szedł do swej budy; regularnie tedy o 9-tej zjawiał się u nas Ponurko, dostał czasem jakąś kość i pożywiwszy się trochę szedł spać.

Od paru tygodni dostał był gospodarz od magistratu licencyę, że mu było wolno w niedzielę mieć lokal otwarty do 11-tej. Ponurko o 11-tej wracał więc teraz w niedzielę do swej budy. Drzwi do naszego mieszkania zastawał zamknięte, wspinał się na klamkę, by je sobie otworzyć po daremnej próbie, szedł do swej budy, i siedział w niej pewno, nim ktoś wyszedł. Któż mógł przypuszczać, że strach w budzie siedział, a Ponurko, który codziennie był naszym gościem wieczór, nie wiedział, że w niedzielę odgrywał rolę stracha.

Tak to każdy strach ma naturalną przyczynę, a strachem właściwie się staje w wyobraźni ludzkiej.

Lim.

Psia dola[1].

Trezor! Trezorek! mój skarbik malutki!
Patrz, Lolu, co to za śliczne stworzenie,
Jakie złociste ma w oczach obwódki.
Jakie poczciwe wymowne spojrzenie.
Co to za uszy długie, jedwabiste,
Jaka sierść lśniąca, gładka niesłychanie —
No znajdź, mi w świecie takiego artystę,
Coby go wiernie skopiować był w stanie.
Ach! jak to dobrze, jaka jestem rada —
Dzięki ci, pyszną mieć będę zabawę,
Jak to się patrzy... ledwo nie zagada,
Jakie to zwinne, figlarne, a żwawe.
Już ja cię, piesku, wypieszczę, odżywię —
Wszak to najlepszy przyjaciel człowieka —
Więc trzeba tobą zająć się troskliwie.
Ha! ha! ha! słyszysz jak paradnie szczeka.
Cicho mi zaraz, co to za hałasy,
Czy brak ci czego, może głodna psina...
A... toś ty taki na śmietankę łasy...
Czego to jeszcze pies się na stół wspina,
I, węsząc noskiem, wyciąga mordeczkę.
Co... czy Trezorka kotlecik już nęci?
Hola paniczu — poczekaj troszeczkę —
Wstrzymaj w zapędzie łakome swe chęci.
Jak skończysz roczek w swoim psim żywocie,
Będziesz jadł, aż się zatrzęsą te uszki —
Będzie i mięso i różne łakocie —
Spać teraz — dalej — marsz już do poduszki.

. . . .

Szczęśliwy piesek! takiej losu łaski
Doznają chyba przezeń ukochani.
Sypał Pan głośne za figle poklaski,
Na śnieżnych rączkach nosiła go Pani.
Brali go Państwo z sobą na spacery,

---

[1]) Z Przyjaciela zwierząt.

Kazali łapkę podawać uczenie,
Wolno mu było, ot tak dla chimery,
Jeździć na sukni powłóczystej trenie,
Lizać z pieszczotą buzi alabastry,
Kłaść się u stópek, skakać na kolana,
I od zjadliwych prostych psów hałastry
Chronić się ufnie u stóp swego pana.
Tak Trezorkowi biegły dni, jak strzała,
Rozrósł się, zmężniał, wyciągnął, jak struna,
A z nim i miłość bez granic wzrastała
Do Opiekunki i do Opiekuna.
Zgadywał myśli, czytał chęci w twarzy,
I nieodstępnym biegł cieniem w ich ślady,
Był im na wiernej, na tak czujnej straży,
Jak gdyby zewsząd czaiły się zdrady.
Kochał... był wdzięczny, jak tylko psie serce
Na śmierć i życie kochać wdzięcznie umie,
Nie rzuci Pana — w szczęściu, w poniewierce
Dzieli z nim dolę... umiera przy trumnie.
. . . .
Wszystko przemija gwoli praw natury,
A tym, co zwierząt noszą ziemskie imię,
Szybciej nadchodzi ów okres ponury,
Co jesień życia sklania już ku zimie.
Ociężał Trezor — figle mu nie w głowie,
Po kilka godzin w cieple się wylega.
Po lesie, łąkach, po polu, parowie,
Nie trzeba gonić wesołego zbiega.
Nie wyskakuje, szczekając jak z procy,
Nie wpada raptem pod nogi, jak kula
Jakby w poczuciu bliskiej już niemocy,
Coraz się korniej do ludzi przytula.
Czołga się, łasi, patrzy w oczy rzewnie,
Zda się, trosk cięźkich ugniata go brzemię,
Gdy głos usłyszy podniesiony gniewnie,
Radby się ukryć, choćby zapaść w ziemię.
Lecz częściej uderza mu w uszy
Z brzydkiem przekleństwem złączone nazwisko —
Człowiek bez niego ni kroku nie ruszy —
Precz stąd, szkaradne, obrzydłe ty psisko!

Aż raz — o jakże wspomnienie to rani,
Jak sen śmiertelnej gorączki najdzikszy,
Swej ukochanej usłyszał głos Pani:
— Jak mi ten Trezor fatalnie się przykrzy...
A Pan się zerwał i kopnął go nogą
— Na dwór! i wara powracać do domu!
Więc dlań już niema nikogo, nikogo,
Coby użalił się nędzy i sromu?
Skulony, drżący, z zimna i żałości,
Przysiadł jak martwy na lichym barłogu,
Choć mróz przejmuje do szpiku mu kości,
Nie śmie się jękiem skarżyć nawet Bogu.
Tylko łzy duże, jak groch, z oczu płyną,
I myśl pytaniem w głowie mu się budzi:
Może to wielką w psiem życiu jest winą,
Że nadto wierzy, nadto kocha ludzi.

Adam Pałęcki.

Zdolność do lotu mysikrólika.

Mysikrólik (Regulus cristatus) słynie w podaniach różnych ludów, jako ptak wytrzymale latający. Istnieje mianowicie podanie o jego wyścigu z orłem, w którym on zwyciężył tego króla ptaków i wskutek tego sam otrzymał nazwę małego króla czyli królika, którą znajdujemy między innemi w języku łacińskim, polskim, a także francuskim i angielskim. J. Trumbull podaje obecnie w „Zoologist" swoje spostrzeżenie, potwierdzające pogląd ludowy o wytrwałości lotu mysikrólika. Płynąc on w październiku r. z. na statku przy silnym wiatrze połudn.-wschodnim i znajdował się o 720 mil od najbliższego brzegu (Irlandyi), gdy dostrzegł mysikrólika, który nadleciał i usiadł dla wypoczynku na pomoście kapitana. Nie wyglądał wcale zmęczony i po krótkim wypoczynku ruszył w dalszą drogę. Zapewne nie mamy dowodu, że nie odpoczywał on po drodze na innych statkach, w każdym jednak razie musi posiadać lot wytrzymały, jeżeli odważa się na takie oddalanie się od brzegów.

B. D.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pod zarządem T. Wiedenia.